

Carolyn Ellis

MKNĄCY POCIĄG, CZYLI ZMIENNE KOLEJE KARIERY ŻYCIE AKADEMICKIE POD WYSOKIM NAPIĘCIEM

MOTTO:

*Mknący bezpowrotnie pociąg
Nie ustaje w biegu w jedną stronę
Wypatrując nieokreślonego celu podróży
Tkwią w zawieszeniu pomiędzy tu i tam*

- *Soul Asylum*
Grave Dancers Union (1992)

Sny: wypadając z torów

10 marca 2010 r. na godzinę 9 mam zaplanowane spotkanie z Markiem Greenbergiem, moim współpracownikiem przy badaniach nad Holokaustem i jednocześnie dyrektorem Centrum Holokaustu i Ludobójstwa z siedzibą w Bibliotece Uniwersytetu Południowej Florydy. Śni mi się, że siedzę w biurze swojego przełożonego, gdzie omawiamy bieżące projekty; w trakcie rozmowy czuję rosnącą obawę, iż nie zdolam wypełnić przyjętych na siebie zobowiązań, o ile moje obciążenia dydaktyczne zostaną utrzymane na dotychczasowym poziomie. Spoglądam na zegarek i widzę, że jest już 9.20. „Muszę iść” — mówię i ruszam z miejsca, nie siląc się na dodatkowe wyjaśnienia. W drodze do biblioteki słyszę, jak burczy mi w brzuchu i zatrzymuję się, aby coś zjeść. Nagle, jak zdarza się to tylko w snach, przenoszę się do Australii. Teraz żadną miarą nie dotrę już na spotkanie. Chcę zadzwonić do Marka, aby wyjaśnić, co się dzieje, ale jest to niemożliwe, ponieważ sama tego nie rozumiem. Co więcej, nie potrafię odnaleźć numeru telefonu Marka, a nawet gdybym go miała, nie wiedziałabym, jak łączyć się z Australii; odkrywam ostatecznie, że w ogóle nie mam przy sobie telefonu! Budzę się pogrążona w panice.

Następnego wieczoru, dzień przed spotkaniem z jedną z osób ocalałych po Holokauście, śnię, że znajduję się w barze w Nowym Jorku. Zostawiam ludzi, z którymi tu przyszedłam i zwierzam się grupie kobiet (w tym barmance), że dotarłam do granicy wytrzymałości nerwowej.

– Pomóżcie mi – mówię.

– Ależ my cię nawet nie znamy – odpowiada któraś z kobiet. – Nie masz kogoś bliskiego, kto mógłby ci pomóc?

Wracam do znajomych — są oni pozbawieni jakichkolwiek znaków rozpoznawczych — i wyjawiam im, że właśnie przechodzę załamanie nerwowe. Ci ledwie rzucają na mnie okiem, popijając dalej drinki i śmiejąc się. Uciekam na zewnątrz i spostrzegam, że ktoś kradnie mój ulubiony samochód, starego Datsuna Blue Z rocznik 1980. „Gorzej być nie może”, mówię. A jednak. Złodzieje chwytają mnie i ciągną do środka samochodu. Duszę się, walcząc resztkami sił. Po chwili zrywam się z płaczem i opowiadam o wszystkim mojemu partnerowi, Artowi, przyznając, iż mam kłopoty.

Dlaczego miewam podobne sny? Dlaczego budzę się prawie każdego ranka już około 3? Nie wiąże się to zapewne z okresem postmenopauzy. Kiedy leżę rozbudzona, nie doświadczam owego szczególnego stanu półsnu, w którym umysł pracuje wyjątkowo przenikliwie, a pamięć bywa lepsza, niż w momentach pełnej świadomości. Chodzi tu o rodzaj bezsenności przymuszającej mózg do niekończących się wyliczeń, tworzenia list obejmujących różne powinności, chaotycznego przeskakiwania z tematu na temat. Mój umysł zachowuje się tak, jak gdyby skupiał się na sobie samym, wykonując automatyczne czynności w stylu powtarzania tytułów artykułów, których jeszcze nie przeczytałam na kolejne zajęcia albo zastanawiania się nad tym, co sprawia, że mój pieski komputer wyłącza się samoczynnie... zresztą, idę o zakład, że dokładnie wiecie, co przeżywam, przecież nie jestem odosobnionym przypadkiem...

Wiem to z trącących przepracowaniem i podszytych stresem wiadomości, jakie otrzymuję od kolegów niemal bez reszty pochłoniętych tym, co robią. Dla przykładu, moja młodsza koleżanka, redagująca wysoce renomowane czasopiśmo, nadesłała e-mail o następującej treści:

Musiałam odwołać swój udział w [konferencji] w Urbanie. Nigdy wcześniej się to nie zdarzyło. Nie umiem podać jakiegoś konkretnego powodu, powstrzymującego mnie przed uczestnictwem, chodzi raczej o masę drobnych, nakładających się na siebie spraw wydawniczych... nie czuję się z tym najlepiej, ale w tym momencie zwyczajnie próbuję przetrwać... Wykonuję porządną pracę, tyle że idzie ona wolno... jestem zarzucona dodatkowymi obowiązkami... zwiększyli mi ilość zajęć w semestrze zimowym. Dom i ogród stoją w ruinie. Krótko mówiąc, jestem zawałona po uszy... Stres mnie zżera, mam spiętą szyję i ramiona (choć dziś jest nadspodziewanie dobrze), zaniedbałam rodzinę... Najbardziej chciałabym się pozbyć kłopotu [*sic*], który sama na siebie sprowadziłam. Muszę być bardziej rozważna, składając deklaracje

„na tak”... W szerszej perspektywie nie wygląda to aż tak źle, ale... ponad wszystko szukam spokoju... I osiągnę go... (e-mail do autorki datowany na 18 maja 2010 r.)

Czy aby na pewno? A co stało się ze mną? Przecież mam za sobą o kilkanaście lat więcej doświadczeń niż ona. Na ile owocne jest takie życie? Życie w całości podporządkowane pracy, toczone kosztem osobistych spraw, negatywnie odbijające się na relacjach z innymi ludźmi. Jak wpływa ono na nasze ciała i dusze? Profesorskie „obłożenie” pracą jest trudne do zdefiniowania, i dlatego też właściwie nigdy się ona nie kończy; skąd mamy wiedzieć, że zrobiliśmy wystarczająco dużo? Zawsze jest jeszcze jeden artykuł do przejrzenia, student pojawiający się na konsultacjach, obowiązek wypełnienia członkostwa w komisji, tekst do oceny, list referencyjny do napisania i książka, którą musimy zrecenzować. Zupełnie nie pomaga to, że większość z nas jest związana z pracą telefonami komórkowymi i laptopami także podczas wakacji. Koledzy i studenci utrzymują z nami stały kontakt e-mailowy, oczekując z naszej strony (jak zresztą czynimy to my sami) gotowości do udzielenia im natychmiastowych odpowiedzi. Im więcej osiągamy, tym o więcej jesteśmy proszeni, również przez siebie.

Wielu z nas pozostaje na „skraju zmęczenia” lub „wypalenia” — to nowy termin służący wyrażeniu starej idei (patrz Carey 2010). Farber (1990) wspomina o trzech rodzajach wypalenia: „frenetycznym”, „wynikającym z braku motywacji” i „spowodowanym zmęczeniem”. To, co czuję i co jest udziałem mych kolegów mieści się w kategorii wypalenia frenetycznego: poświęcamy się pracy; inwestujemy w nią ogrom czasu oraz energii; cechuje nas ambicjonalność, dynamizm działania i nieustępliwość w dążeniu do celu. Liczymy na zewnętrzną aprobatę. Trwamy w przekonaniu, że jesteśmy profesjonalistami i dbamy o to, aby tak rzeczywiście było. W sytuacjach niezadowolenia, piętrzących się trudności lub obaw o słabą wydajność, najczęściej sięgamy po następne zadania w nadziei sprostania im i w ten sposób sprawdzania siebie (Farber 1990; Montero-Marin et al. 2009).

Gwizdek ostrzegawczy i głosy w mojej głowie

Moje życie toczy się pomyślnie. Nie choruję. Mam wspaniałego partnera i dwa urocze psy, które kocham i pielęgnuję. Moja kariera rozwija się świetnie, lepiej niż mogłabym to sobie wyobrazić. Mam pod opieką zdolnych studentów i spełniam się naukowo w interesującym projekcie badawczym. Co zatem sprawia, iż czuję się nieszczęśliwa? Czyżbym wzięła na siebie tak dużo, że nie jestem w stanie temu podołać? Na czymkolwiek bym się nie skupiała, moja głowa wyszukuje drugorzędne detale, odbierając mi radość z wykonywanej pracy. Nie mam czasu na nieodzowną dla pobudzania kreatywności zadumę czy dające zadowolenie spontaniczne pisanie opowieści (takich na przykład jak ta tutaj). Powinnam się zastanowić, czy satysfakcja z tego, co robię jest proporcjonalna do wkładanego wysiłku.

Musisz częściej się bawić, odzywa się głos w mojej głowie.

Bawić się? Cóż to znaczy? Spędzam swój „wolny” czas, uczęszczając na zebrania — kwalifikacyjne, wykonawcze, wydziałowe, akredytacyjne, dotyczące programów nauczania, planowania strategicznego, dysertacji, ustalania kryteriów wstępnych na studia, konkursów. Nie znoszę zebrań i najczęściej wyłączam się w trakcie ich trwania. Niezbyt chętnie zapatruję się także na płynące z zewnątrz prośby o przygotowanie recenzji koniecznych do otrzymania promocji lub przyjęcia na stały etat — to zadanie nieodłączne od funkcjonowania w ramach instytucji, wykorzystujących nasz czas oraz kompetencje, ale rzadko poczuwających się w zamian do finansowych gratyfikacji. Pisanie listów rekomendacyjnych uważam za ćwiczenie z gatunku pozbawionych większego sensu; oczywiście, powinny one być przygotowane, i bardzo chciałabym, aby moi studenci dostawali posady, lecz przedstawianie każdej osoby w jak najlepszym świetle też zabiera sporo czasu. Z zasady odrzucam wszelkie formalne zaproszenia dotyczące ewaluacji czyichś książek i artykułów, aczkolwiek na moim biurku wciąż piętrzą się stosy próśb, którym jakimś trafem dałam zielone światło, z góry narażając się na niedotrzymanie terminów. Staram się odpowiadać na listy ludzi szukających mojego wsparcia we własnych projektach badawczych, ale i tu mam zaległości. Systematycznie wzbraniam się przed aplikowaniem o granty; unikam siedzenia nad referatami konferencyjnymi, choć zdarzają się wyjątki (należy do nich ten tekst, przygotowany z myślą o Międzynarodowym Kongresie Metod Jakościowych, maj 2010). Planując podróże z wykładami o autoetnografii, wzdygam się przed koniecznością sprawdzania rozkładu lotów i dokonywania rezerwacji hotelowych; co prawda wykłady te dawałam już wcześniej, ale dzisiaj wymagają one czasochłonnych uzupełnień; prezentacje autoetnograficzne zawsze niosą masę dobrych emocji, tyle że potem wracam do domu zmęczona, zderzając się z czekającą na dokończenie pracą.

Na tym wszakże nie koniec.

Jest jeszcze zapewniająca mi pensję dydaktyka: uwielbiam studentów z poziomu magisterskiego — jako nauczycielowi akademickiemu dają mi oni sporo satysfakcji, ale znowu: ze sprawowaniem opieki mentorskiej wiążą się duże nakłady czasu i energii. Są również studenci stopnia licencjackiego. Ci bywają na zajęciach nieregularnie, a jeśli przychodzą to są nieuprzejmi i wykazują się nikłym zainteresowaniem wobec omawianych treści. Wzdycham, czytając ich kiepskie opowieści i oceniając sterty wypocin. Co się ze mną dzieje? Kiedyś z niecierpliwością czekałam zajęć ze studentami pierwszych lat studiów, teraz — często łapię głęboki oddech zanim otworzę drzwi prowadzące do sali wykładowej.

Przestań być wredna, Carolyn. Zachowujesz się niczym najgorszy malkontent. Jak się czujesz, kiedy ludzie przeczytają to, co napisałaś i zobaczą cię właśnie taką? Nie jest to „ja”, którym zwykłaś się posługiwać publicznie. Poza tym, twoje życie jest jak ze snu, i bynajmniej nie chodzi mi o sen przerywany raptownie o 3 w nocy. Zajmujesz się pasjonującymi cię rzeczami, w otoczeniu ludzi, na których

ci zależy i o których dbasz... ponadto, w dużym stopniu ty sama decydujesz, jak zagospodarować swój czas. Ile osób znajduje się w takiej sytuacji? Zazwyczaj żyjemy, aby pracować, a pracujemy, aby przetrwać — co mają powiedzieć ci wykonujący prace fizyczne pod gołym niebem, wystawieni na działanie silnego słońca, lub ci mozolnie montujący tryby w maszynach; albo ci przyjmujący stanowiska adiunktów, czy ci w ogóle niemający zatrudnienia (a dotyczy to wielu osób z doktoratami). W porównaniu z nimi jesteś w znakomitym położeniu.

„A jakże!”, odpowiadam. Przecież moje życie jest koszmarem. Pracuję od rana do późnego wieczora. Rozcieram bolącą szyję i ramiona — nazywam to KWP (komputerową wadą postawy).

A zatem naucz się mówić „nie”.

Umiem mówić „nie”. Mówię „nie” prawie zawsze. Problemem są owe „prześlizgujące” się „taki”. W istocie, pomijając przejawy mojego malkontenctwa, lubię swoje obowiązki. Ponadto, kim bym była, gdyby ni stąd, ni zowąd zaprzestano proszenia mnie o cokolwiek? Kim byłabym, gdybym nie próbowała przekraczać ludzkich możliwości, jak czynią to moi odnoszący sukcesy koledzy?

Określasz wartość siebie przez pryzmat ilości narzucanych na ciebie zobowiązań?

W zamyśleniu gryzę koniec ołówka, a następnie... ach, może odpowiem na parę e-maili i sprawdzę strony WWW... a może przejrzę wirtualne wydanie the New York Times’a...

Och, zapomniałam wspomnieć o Internecie i poczcie elektronicznej, odzywa się głos — palce szybko biegną po klawiaturze. Same e-maile zajmują 3 do 4 godzin dziennie, nieraz więcej.

Nieważne. Wykonuję sporo pracy za pomocą poczty elektronicznej. Zresztą, kim bym była, gdyby nikt do mnie nie pisał?

Tu cię mam! Wciąż musisz „potwierdzać” siebie. E-maile są obciążeniem i doskonale o tym wiesz. Biorąc pod uwagę twe aktualne obciążenia, nie masz na nie czasu. Szybko licząc, piszesz sześć artykułów...

„W większości powstają one we współpracy z innymi autorami”, mówię.

...i co najmniej cztery książki: dwie w ramach projektu dotyczącego Holocaustu, jedną (poświęconą wywiadowi interaktywnemu) z Lisą [Tillmann] oraz Christine [Kiesinger], a także książkę o metodach [w badaniach jakościowych] (dla Oxford University Press). Och, omal bym nie przeoczyła Podręcznika autoetnografii. Nie mogę uwierzyć, że się na niego zgodziłaś. Zdajesz sobie sprawę, iż wystawisz się na setki e-maili, bardzo odpowiedzialne zadania organizacyjne i — w niedalekiej przyszłości — prace redakcyjne nad wyciąganymi z szuflad przez dojrzałych profesorów ich nigdy niepublikowanymi tekstami. I nie będą to twoje ulubione osobiste opowieści, a raczej ubrana w ciężkostrawne zdania teoria.

„To jest wysoce protekcyjne”, odpowiadam. Porywanie się na stworzenie Podręcznika nie napawa mnie optymizmem, ale jestem to winna samej autoetnografii; chcę wykonać ostatni krok legitymizujący proces [zmiany paradygmatycznej].

Pozwól, aby ktoś inny zrobił to za ciebie. Jeśli jesteś, jak uważa twój wydawca, jedyną osobą mogącą tego dokonać, być może wcale nie potrzebujemy Podręcznika.

Ja jednak powiedziałam „tak”. Trudno się wycofać ze złożonej deklaracji.

Carolyn, powinnaś być rozsądniejsza. Wiesz, że nikt, powtarzam, nikt nie uporządkuje za ciebie tego bałaganu. Weź się w garść, inaczej będziesz wiecznie nieszczęśliwa. Pójdę na pieszą wycieczkę, pobawię się z psami i wypiełgnuję kwiaty. Spodoba ci się! Dalej!

„Spacer to dobry pomysł”, mówię. Może po sprawdzeniu poczty rzeczywiście wyjdę na dwór.

Idę o zakład, że nawet jeśli ci się uda odejść od biurka, nie pozbędziesz się przekłętogo smartfonu. Wielozadaniowa, zawsze jesteś wielozadaniowa, narzeka głos. Czy jest coś, co całkowicie ogniskuje twoją uwagę?

Co złego kryje się w wielozadaniowości? Pomaga mi ona szybko uporać się z natłokiem spraw.

Zła nie jest sama wielozadaniowość, ale wielozadaniowość w twoim wydaniu. Och, być może spacerujesz, grasz z psami i rozmawiasz przez telefon w tym samym czasie, jednakże nie umiesz się do końca odprężyć, a spacer chyba temu właśnie ma służyć, nieprawdaż? Przerywając pisanie, aby sprawdzić pocztę lub odebrać telefon „przeskakujesz” między różnymi czynnościami: nie wykonujesz dwóch z nich jednocześnie; tylko chwilowo zaprzestajesz robienia czegoś trudnego (na przykład pisanie tej opowieści), w celu zrobienia czegoś prostszego, jak choćby przygotowanie odpowiedzi e-mailowej. Taki rodzaj „przeskakiwania” czyni cię mało wydajną; nie sprzyja też pogłębionemu myśleniu, konsumuje a nie kompresuje czas i wydatnie przyczynia się do wzrostu napięcia (na temat badań nad wielozadaniowością por. Rosen 2008).

Próbując jakoś przeciwdziałać przyptywowi niepewności, zwracam się ku moim psom. Zen razem z Buddhą wesoło dokazują; rzucają mi na kolana piłki i łapią za mankiety, podkreślając swoją obecność zawziętym szczekaniem. „Na pewno nie jesteście wielozadaniowe”, zauważam. Dochodzi dwudziesta — pora ich codziennych przechadzek. Pomiedzy odpisywaniem na kolejne e-maile zerkam w ciepłe psie oczy, zastanawiając się, jak mnie postrzegają i jak oddziałują na moje zwierciadlane „ja” (Cooley 1902).

Wyobrażam sobie rat teriera Buddhę, mówiącego: *Znam cię od ponad sześciu lat. Siedzisz przed tym komputerem niemal każdego dnia. Wyglądasz na przybitą. Narzekasz na bóle pleców. Wzdychasz ciężko. Czemu robisz coś, co nie daje ci zadowolenia. W moim świecie to nie miałoby sensu.*

Czy mama zachowuje się tak od dawna?, dopytuje owczarek australijski, szczeniak Zen. *Przypuszczałem, że ta obsesja pracy jest przejściowa i mama wkrótce zrozumie, co daje nam szczęście. Wygląda na radosną, gdy wspólnie się bawimy. Jak może się nam opierać?*

Ja też się dziwię. Kiedyś sądziłem, iż bębnienie na tym komputerze jest rodzajem gry; mama była podekscytowana. Ostatnio coś się zmieniło. Jest spięta i rozproszona. Nauczyłem się, że ludzie nie zawsze żyją konkretną chwilą i nie dokonują właściwych wyborów, pozwalających im cieszyć się życiem, mówi roztropny Buddha. Wydają się mieć większe potrzeby aniżeli piłka, miłość, sen i jedzenie wypełniające pełnowartościowe życie. Ludzie zdumiewają mnie.

Zen biegnie za Buddhą po pokoju; kiedy wreszcie go dopada przewracają się obaj i bawią zapamiętałe. Obserwując je, myślę, że wołałabym być taka, jak one — beztroska i bezinteresowna w okazywaniu czułości. „Za minutkę”, mówię, mimowolnie wyławiając z tła specyficzny dźwięk sygnalizujący nadejście wiadomości e-mailowej.

Sprawdzanie poczty trwa oczywiście ponad godzinę, i na spacer robi się zbyt późno. Psy leżą cicho u moich stóp, wtapiając się w mrok gabinetu. Wyczuwam, że są mocno zawiedzione.

„Jutro też jest dzień. Pospacerujemy. Obiecuję”, mówię, ale psy nie słuchają — śpią.

Byłoby nieźle, gdybyś taką samą wrażliwością wykazywała się w stosunku do własnej pracy, odzywa się głos. Jesteś do niczego, ale muszę z tobą żyć, i wiem, że mimo wszystko daleko ci do ponuraka.

Co dalej? Na głównym trakcie i poza nim

– Co mam robić dalej? – pytam Artę.

– Zaczynj od wypunktowania tego, z czego da się zrezygnować – odpowiada.

– Co z *Podręcznikiem*? Carolyn, ten projekt odciągnie cię od pracy, na której rzeczywiście chcesz się koncentrować. I lekką ręką zabierze ci przynajmniej cztery lata życia.

– Cztery lata? – powtarzam z przerażeniem, uświadamiając sobie, że to większość czasu, jaki mi pozostał...

Nagle daje o sobie znać starość. Czy o tym właśnie jest ta narracja? O starzeniu się? Mam 59 lat. Po raz pierwszy wychylam się w przyszłość, nie postrzegając jej jako nieograniczonej pod kątem realizacji planów naukowych. Ile lat jest przede mną? Siedem, dziesięć, więcej, mniej?

– Każdy dzień jest na wagę złota – kontynuuje Art. – Musisz się dobrze zastanowić, jak je spożytkować. Oboje musimy.

W przypiływie desperacji piszę do terapeutki, którą polecił mi zaufany kolega i wstępnie przedstawiam jej swoje problemy. Terapeutka milczy. Prawdopodobnie jest zajęta. W rozmowie z Artem i kilkoma przyjaciółmi staram się więc dociec, jak powinnam przeżyć tę część życia.

Moje wewnętrzne napięcie bez wątplenia łączy się z wiekiem; wchodzi w odmienny od poprzednich etap życia i kariery, co wymaga także

przeformułowania znaczeń, jakie przypisuję pracy. Chodzi także o problem tożsamości; nie wyczerpuje się on zresztą w kwestii „kim bym była, gdybym przestała próbować być wszystkim dla wszystkich”, ale dotyczy przekształcenia tożsamości badawczej.

Znalazłam nową pasję (albo ona znalazła mnie). Są nią opowieści Żydów ocalałych z Holocaustu. Skupiam się na doświadczeniach osób, które uniknąwszy zagłady uczą nas, czym jest życie z traumą i stratą. Projekt ten — niezwykle wymagający pod różnymi względami — do pewnego stopnia czerpie z osiągnięć autoetnografii (szczególnie w warstwach dotyczących pisarstwa narracyjnego, emocjonalności, a także współkonstruowania wiedzy). Partycypując w odtwarzaniu ludzkich losów za pomocą narracji, kwestionuję tradycyjny podział na ludzi opowiadających historie (*storytellers*) i ludzi akademii, którym przypada w udziale rola analityków (*story analysts*). Różnica między dwiema poprzednimi dekadami badań a tymi prowadzonymi przeze mnie obecnie, zasadza się na przeniesieniu ciężaru z „myślenia bardziej o sobie” na „myślenie bardziej o innych”. Pojawiające się zagadnienia dotyczą historii mówionej (*oral history*), a nie autoetnografii w ścisłym rozumieniu tego słowa. Wszelako, dla świata akademickiego pozostają głównie autoetnografką i to w wypowiedziach o takim charakterze rozpoznają mnie koledzy. Z drugiej strony, uznani badacze z kręgu studiów nad Żydami nie mają pojęcia, kim jestem.

Diagnostuję problemy i umawiam się na spotkanie z moim szefem. Zamierzam go prosić o zwolnienie z prowadzenia niektórych kursów. Zakładam, że wtedy zdolam wypełnić podjęte zobowiązania bez uszczerbku dla prac nad projektem dotyczącym Holocaustu. Tym razem nie śnię, nie wybiegam gwałtownie z gabinetu przełożonego, tylko spokojnie wyjaśniam mu całą sytuację, odpowiadając na pytania i czekając na ostateczną decyzję (jest ona dla mnie przychylna, choć obwarowana sporymi oczekiwaniami odnośnie do pozyskiwania grantów badawczych). W drodze do domu dociera do mnie, iż efektem zmniejszenia obciążeń dydaktycznych nie musi być podtrzymanie decyzji w sprawie publikacji *Podręcznika*, mimo że już podpisałam umowę autorską. Postanawiam zadzwonić do wydawcy, aby zmienić dotychczasowe ustalenia. Rozmowa ta jest wyjątkowo trudna, ale po jej zakończeniu oddycham z ulgą. Podobnie reaguje Art, z którym czym prędzej dzielę się najnowszymi wieściami. Okazuje się, że on także chowa w zanadrzu niespodziankę.

– Zapisałem dzisiaj psy na tresurę. Jedynym kłopotem jest to, że trener mieszka o ponad czterdzieści pięć minut drogi stąd – mówi.

– A co z czasem? – pytam.

– Z czasem sobie poradzimy. Na pewno.

– Wchodzę w to.

Od pierwszych zajęć jestem zachwycona tym, jak dużą przyjemność sprawia mi bieganie po placu między psami radośnie skaczącymi przez opony, przeciskającymi się tunelami i bujającymi się na huśtawkach. Wykonuję mały, ale ważny krok. Nabieram też ochoty na pracę wolontaryjną z bezdomnymi zwierzętami.

Siadając do komputera, umieszczam na ekranie kartkę z napisem: „Po prostu mów «nie». Możesz mówić «tak», ale później... albo wcale”.

Praca zaczyna iść łatwiej. Wygospodarowanie czasu na dodatkowe aktywności skutkuje przełamaniem spirali stresu, w jakiej się znalazłam, aczkolwiek, niestety, moje życie codzienne wciąż jest intensywne. Ciągłe gnam. Na uczelni pędzę w dół schodów, patrząc prosto przed siebie lub trzymam w rękach stertę papierów — znak, że nie mogę się zatrzymać, aby porozmawiać. Inni zachowują się podobnie.

– Jak się masz? – pytam.

– Praca i praca.

– A ty?

– Padam na twarz – odpowiadam.

Gleick (2000) nazywa ten stan „chorobą pośpiechu” — gonimy uciekający czas w obawie, że nie zdążymy zrobić wszystkiego, co musimy.

Któregoś dnia odkrywamy z Artem, że dach naszego domu przecieka. Podłogi są doszczętnie zrujnowane. Przeznaczamy 20.000 \$ na naprawę, aby zapobiec dalszym zniszczeniom. Kilka ekip kręci się po posesji, hałas jest ogłuszający, a ja pracuję na pół gwizdka, wiedząc, że za moment ktoś znowu mi przeszkodzi, zadając niecierpiące zwłoki pytanie. Czy oni kiedykolwiek skończą?

W samym środku trwającego remontu otrzymuję dobre wiadomości. Dostałam kilka lokalnych grantów i dużą dotację na dalsze rozwinięcie projektu o Holokauście. Ach, życie jest piękne! Czuję się świetnie. Odsuwam na bok myśli o stresie i z wigorem zabieram się do dzieła.

Tymczasem dzień po pozyskaniu środków znienacka psuje mi się komputer. Podobno „przeładowałam” go materiałami wideo pochodzącymi z badań nad Holokaustem i z projektu o zaburzeniach żywieniowych. Awaria sprzętu to swoista metafora mojego życia. „Kryzys komputerowy” opóźnia nasz wyjazd do domu w górach (tam również musimy zainwestować, oprócz bezcennego czasu, 10.000 \$ w czyszczenie bali do litego drewna i ich ponowne zabezpieczenie); na szczęście kopie ważnych plików przechowuję na dysku zewnętrznym, co jednak nie chroni mnie przed lekkim załamaniem.

– Nie pamiętam cię takiej zestresowanej – mówi Art, widzący jak się rozklejam.

– Wiem, czuję się beznadziejnie. Nie rozumiem, dlaczego mam wrażenie, iż za chwilę się rozsypię; przecież wszystkie istotne sprawy idą znakomicie.

– Przez ostatnich dwadzieścia lat rzadko bywałeś w równie złym nastroju – konstatuje Art.

– Technologia — kocham ją i nienawidzę jednocześnie. Jest niezbędna dla mojej pracy, ale sprzyja stresowi i jest źródłem trwonienia czasu.

Trwająca dziesięć godzin podróż w góry wreszcie daje obojgu z nas upragnione wytchnienie od gorączkowych zajęć uniwersyteckich. Jadąc samochodem, słuchamy muzyki i śpiewamy z Leonardem Cohenem: „Ring the bells that still can ring, Forget your perfect offering, There is a crack, A crack in everything, That’s how the light gets in” (*Anthem*, 1992). Potem zatrzymujemy się w przydrożnym

parku, spacerujemy i zamawiamy „Blizzardy” w Dairy Queen, dzieląc się nimi z psami. Panująca wokół atmosfera rozluźnienia sprzyja ucinaniu pogawędek, na które nie znajdowaliśmy chwil w minionym semestrze.

Po dotarciu na miejsce czuję się odprężona. Oddycham chłodnym, świeżym powietrzem, chodzę starymi, trochę pozarastanymi ścieżkami — zwalniam. Nie na długo. Lato w górach przerywają bowiem kilkukrotne powroty do Tampy i wyjazdy do Illinois na Międzynarodowy Kongres Badań Jakościowych oraz do Kanady, gdzie pomiędzy dawaniem jednego czy drugiego wykładu udaje się nam wcisnąć krótkie wakacje. Wyłączając czas spędzony w podróży, pracuję każdego dnia, chociaż bez większych rezultatów.

Przygotowuję się do drogi, przeorganizowuję zajęcia, zaczynam od nowa, wracam. Kocham pracę ze świadkami Holokaustu, ale to za jej przyczyną idealne, niekończące się lato w górach straciło cały swój urok. Powodem narastającej we mnie frustracji jest na przykład brak dostępu do szerokopasmowego Internetu. Sygnał z satelity dociera w iście żółtim tempie. Czekam w nieskończoność. Czekanie samo w sobie zakłóca płynny rytm pracy. W oczekiwaniu na załadowanie się strony, sprawdzam skrzynkę e-mailową. Przyzwyczajona do dużej prędkości, nie odnajduję się w abstrakcyjnej idei „zwalniania” przeniesionej na płaszczyznę realnego życia (w tej chwili czekam trzy minuty aż komputer otworzy stronę z synonimami słowa *aktualizować* — poddaję się). Decyduję się wyciszyć dźwięk informujący o przyjsciu nowej wiadomości; dzięki temu chcę uniknąć nieustannego sprawdzania poczty; z tego samego powodu wyłączam także opcję „migającej ikonki”. Zastanawiam się, czy przygoda z niedawną „naprawą” sprawiła, że jestem przewrażliwiona na punkcie mojego PC? Zauważyłam, iż mogę spędzać godziny na „ulepszaniu” komputera. Czy utrzymanie komputera w perfekcyjnym stanie warto poświęcić wielu godzin czysto technicznym czynnościom? Pewną rekompensatą jest poczucie, że lepiej umiem skupić się na mojej pracy, to ja kontroluję ją, a nie ona mnie. Tylko dlaczego zabiera mi to aż tak dużo czasu? Czy jakaś część mnie nieświadomie pożąda tych przerw?

Zamiast o 3 rano, w górach budzę się o 8. Życie bez zajęć dydaktycznych i spotkań zwalnia bieg. Trapi mnie tylko trwale utrzymujący się tuż po przebudzeniu odruch wyliczania wszystkich rzeczy, jakimi muszę się zająć, choć nie jest to, jak w Tampie, chroniczne tworzenie listy obowiązków, nad którym nie umiem zapanować.

Więcej sygnałów ostrzegawczych: na czym mi zależy i jak chcę żyć

Oboje, Art i ja pracujemy w przylegających do siebie studiach: ja zajmuję się projektem związanym z Holokaustem i różnymi artykułami, Art — swoją książką

o narracji. Późnymi popołudniami, po spacerze, siadamy na tarasie i oglądamy zachody słońca.

– Co myślisz o splataniu się naszego życia z naszą pracą? – pytam pewnego wieczoru.

– Zawsze uważałem to za pozytywny aspekt naszego wspólnego świata – odpowiada Art. – Dlaczego o to pytasz?

– Sama nie wiem. Do tej pory przenikanie pracy i życia wartościowałam dodatnio — praca nie jest pracą jako taką, a jedynie przedłużeniem życia. Od pewnego czasu nurtuje mnie jednak wątpliwość, czy nie angażujemy się zbyt mocno w to, co robimy; nie mam pewności, czy praca nie wnika zbyt głęboko w naszą prywatność.

– Tak sądzisz?

– Nieraz myślę o tym, czy gdybyśmy mieli dzieci, to tyle samo energii wkładalibyśmy w rozwój naszych karier? (patrz Senior 2006)

– Oczywiście, że nie – mówi Art. – Nie byłoby na to czasu. Chcesz powiedzieć, że tęsknisz za byciem babcią?

Wybucham śmiechem.

– Nie, ale ostatnio odnoszę wrażenie, że nigdy nie kończę pracy. Wypełnia ona większość moich dni. Dużo myślę. Jeszcze te naprawy domu i inne obowiązki...

– Nie wyrażałaś tego tak dobitnie. Zastanawiam się, co się zmieniło. Może chodzi o to, że pracujemy nad oddzielnymi projektami, i, siłą rzeczy, oddaliliśmy się pisarsko od siebie.

– Coś w tym jest – mówię. – Oczywiście, nasza relacja zyskiwała na intensywności, gdy pracowaliśmy nad czymś razem. W tym momencie ty zatapiasz się w swoją książkę, a ja w opowieściowe życie tych, którzy przetrwali Zagładę. Tęsknię za naszymi wspólnymi projektami. Tęsknię za tobą. Za dnia pracujemy osobno, a po zmroku starcza nam energii zaledwie na oglądanie głupich programów w telewizji; zazwyczaj nawet wtedy sprawdzasz jeszcze pocztę. Jak mówi Powers (2010), stałe bycie podłączonym do sieci ingeruje w relacje bezpośrednie i przyczynia się do „rozpraszania” życia. Bywam rozproszona, ty też. To nic złego. Po prostu odsunęliśmy się od siebie.

– Cieszę się, że o tym rozmawiamy – mówi Art. – Odczuwam coś podobnego. Chyba rzeczywiście nie jesteśmy ze sobą tak blisko, jak miało to miejsce w przeszłości; ale przecież nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy wrócili do dobrego zwyczaju współdzielenia się projektami i podnoszenia jakości naszego życia.

– Oboje jesteśmy zestresowani koniecznością wypełniania różnych zobowiązań, stawiamy czoła różnym wyzwaniom – odpowiadam, dodając: Nie zostaje nam zbyt wiele czasu na życie poza pracą.

– Tak, to prawda. Ta książka pochłania mnie bezgranicznie — emocjonalnie i intelektualnie. Wydobywam na światło dzienne wiele fragmentów mojej pamięci; niektóre ze wspomnień wywołują ogromny smutek i ból. Ty z kolei zagłębiłaś

się w projekt o Holokauście. Zresztą przyznaję, iż bywam zazdrosny o te badania, i trochę żałuję, że w nich nie uczestniczę.

– Ależ mógłbyś, gdybyś nie pisał własnej książki.

– Wiem. Ale ta książka jest dla mnie ważna. Opowiada o czymś, co zagnieżdżyło się we mnie i drąży od środka. Sięganie po pocztę to środek ucieczki od rzeczy, z którymi się zmagam.

– Wolałabym, żebyś zwracał się do mnie z tym, co cię trapi... – mówię z żalem w głosie.

– Musiałbym nie mieć sumienia. Masz wystarczająco dużo własnych zajęć. Studia nad Holokaustem, przeprowadzanie wywiadów, spotkania ze studentami i mnóstwo codziennych spraw to aż nadto. Usunąłem się na bok.

– Czuję.

– Dobrze się stało, że odważyłaś się powiedzieć to na głos – stwierdza Art.

– Czasami myślę, że, paradoksalnie, tym, co trzyma mnie przy konkretnej pracy, co mnie w nią wciąga jest stres. Jest on naturalnym skutkiem ubocznym zaangażowanej i oddanej pracy. I w tym szkopał — z jednej strony chciałabym wyzbyć się stresu, z drugiej zaś, wydaje się on być niezbędnym środkiem wzmacniającym sens zaangażowania i oddania w projekty, które realizuję; waży też na kontaktach ze studentami, których prowadzę.

– O tym właśnie piszesz swój tekst?

– Tak, ale przede wszystkim kładę w nim nacisk na ukazanie napięcia tkwiącego we mnie; jak wielką rolę odgrywa zaangażowanie (rozumiane jako autentyczna troska o drugą osobę) w przypadku występowania z pozycji mentora, uzmysłowiła mi wiadomość otrzymana od świeżo mianowanej profesorki. Chciałbyś posłuchać?

Art przytakuje.

Przepraszam, że nie wysłałam tej [propozycji książki] wcześniej, ale wczoraj po prostu nie usiadłam do pracy wbrew wcześniejszym planom... Powodem... jest to, że cały Boży dzień spędziłam poza miastem, pocieszając i starając się chronić studentkę, która padła ofiarą przemocy domowej ze strony ojca swego syna. Studentka ta zadzwoniła do mnie na pół godziny przed umówionym spotkaniem. Na ironię zakrawa to, że akurat byłam w trakcie czytania jej osobistych historii [ukazujących relacje panujące pomiędzy czarnymi mężczyznami a kobietami — historie te są częścią pisanej przez nią pracy], kiedy w słuchawce usłyszałam potworny szloch. Na wszelkie sposoby próbowałam ją uspokoić, ale to nic nie dawało. Nagle zapanowała cisza, a chwilę potem usłyszałam jej chłopa, który jej wygrażał... i nie miałam wyjścia. Telefon po drugiej stronie upadł i prawdopodobnie rozbił się. Oniemiałam. Nie wiedziałam, gdzie ona dokładnie jest, ani jak się tam dostać. Jedyne co wiedziałam na pewno to to, że była w niebezpieczeństwie. Wpadłam w panikę i uświadomiłam sobie, że teraz przypominam bohaterów z opowieści w mojej dysertacji... i, paradoksalnie, niestety, zanim zadzwoniłam na policję (po tym jak ostatecznie namierzyłam ją przez urząd kwaterunkowy), przez pół minuty zastanawiałam się, czy w ogóle powinnam się wtrącać w jej życie. Ta

myśl odeszła... szybko... i wreszcie byłam gotowa skontaktować się z policją, która mogła zainterweniować, przerywając bójkę. W ciągu godziny byłam w drodze do jej domu... aby pomóc jej poskładać wszystko w całość... jechałam — płacząc (bo nie wiem, jak można być TAK silnym jak ona!). Najbardziej obawiam się tego, że ona może do niego wrócić. Boję się, że po prostu nie przestanie go kochać. Jej osobista historia łamie serce. Ona nie ma matki... nigdy nie poznała swojego ojca. Chce, aby jej syn miał to, czego ona sama nie miała... I ten człowiek, z którym ma dziecko już bił ją wcześniej; zresztą pochodzi z rodziny, w której jest przemoc — mężczyźni biją kobiety, a one to przyjmują... ten człowiek szantażuje ją swoją miłością. Nie ma pracy. Stale ją okłamuje. Gra na jej słabościach. Lękam się o nią i o jej dziecko. Czytanie mojej pracy w tej chwili jest więc trudne... ale niezbędne. Bardzo chcę napisać książkę, która pokaże, że ona (i inne bite kobiety) ma prawo do odejścia. Chcę się upewnić, że to jest właśnie to, co ta historia uczyni... (e-mail do autorki datowany na 21 czerwca 2010 r.)

– To jest naprawdę mocne – mówi Art, kiedy kończę czytać.

– Faktycznie. Pytanie, ile czasu minie, zanim ta dziewczyna się wypali. Jak długo możesz utrzymać taki poziom zaangażowania w relacjach ze studentami?

– Nie mam pojęcia, ale jej przypadek przypomina mi, że nasza praca jest „wezwaniami”. Przez większość czasu nie jest to zwykła praca. Ta profesorka poczuła powołanie. To jasne. Tak samo jest z tobą i ze mną.

– Czuję powołanie — do autoetnografii, etnografii i pracy z osobami noszącymi na sobie piętno Holokaustu, ale niekiedy gubię się w detalach i wówczas słabnie moja wrażliwość.

– Najprawdopodobniej to jest ta część twojej opowieści, która wymaga dopracowania. Powinnaś przypominać zarówno sobie samej, jak i czytelnikowi, że życie akademickie jest rodzajem powołania. A to zdaje się być nieobecne w tym, o czym piszesz. Traktowanie twojej pracy jako powołania — w najmocniejszym sensie tego słowa — czyni tę pracę moralnie nieodłączną od twojego życia (Bochner 2009; Bellah et al. 1985: 66). To może być dobry pomysł na zakończenie opowieści.

– Nie jestem pewna. Idea wezwania oczywiście jest znacząca, tyle że praca scalona z życiem — szczególnie gdy to pierwsze zaczyna dominować nad tym drugim — stanowi esencję mojego problemu – mówię. – Nie chciałabym zagubić poczucia powołania, zaprzestając traktowania pracy jako „drogi życia” (Rose 1990), ale zdarzają się momenty, w których potrzebuję utwierdzenia, iż nie zatracam siebie i nie staję się jednowymiarowa przez fakt, że w obrębie pracy wyczerpuje się wszystko, co ważne; to dotyczy również nas: ostatnią rzeczą, której pragnę jest poświęcenie „nas” naszemu życiu profesorskiemu.

– Nie dopuścimy do tego – mówi Art. – Ta rozmowa przypomina mi, co oczywiście jest dla nas cenne. Nigdy nie chciałabym stracić tego, co mamy...

Pogrążeni w zadumie dłuższą chwilę patrzymy na słońce wolno chowające się za wierzchołkami gór.

– Ja także nie. W tej chwili, zdając sobie sprawę, jak szczęśliwe jest nasze życie, mam poczucie winy, opowiadając ci o moim stresie. Czym się mam stresować? – pytam retorycznie.

– To prawda. Ale to jest coś realnego, mam na myśli tę presję, której doświadczamy, nawet jeśli jest to wymierzone w nas samych — wybór, jakiego dokonaliśmy.

– Jest jeszcze jeden powód, dla którego wołałabym nie zamykać tej opowieści nawiązaniem do idei wezwania – mówię.

– Słucham...

– To, jak doświadczam stresu i reflektuję nad nim cechuje ambiwalencja. W ten sposób dążę do utrzymania równowagi. Kocham swoją pracę; nienawidzę stresu. Staram się nie zachowywać jak pracoholik; ale też boję się, że nie zrobię wystarczająco dużo. Próbuję skupić się na pracy; potem przerywam ją, tworzę okoliczności sprzyjające ucieczce od niej, pozwalam najprzeróżniejszym rzeczom odciągać mnie od głównego traktu. Sprawy mają się dobrze, a później źle. Linia narracji nie jest jednokierunkowa, nie biegnie do szczęśliwego rozwiązania. Ja nie jestem wyleczona, ba, nigdy nie będę. Nie zamierzam wykręcać się daniem sztucznie optymistycznego lub nadmiernie powściągliwego zakończenia. Być może takie po prostu jest życie: pozbawione katharsis; ciągle zawracające do punktu wyjścia...

– Podobają mi się to, co mówisz – wtrąca Art. – Złożoność rzeczy w istocie pozostaje nieredukowalna, ale my ciągle mamy nadzieję, że jednak jest inaczej. Prowadzimy głęboki namysł nad tym, jak stajemy się mądrzejsi niż jesteśmy teraz. Rozpoznajemy wybory, których dokonujemy i tą drogą zyskujemy świadomość hierarchii rzeczy ważnych dla nas.

– Tak myślę. Posłuchaj, ta rozmowa, możliwość dzielenia się z tobą moim doświadczeniem wiele mi daje. Potrzebowałam tego. Zawsze mogę wsłuchiwać się w głosy odzywające się w mojej głowie, ale one bywają niepohamowane. Bezpośrednie relacje, takie jak nasza tutaj, są niepomniernie lepsze niż wegetowanie przed ekranem telewizora czy czytanie banalnych powieści.

– Zgadza się – mówi Art. – Jestem otwarty na wygospodarowywanie czasu dla kolejnych takich rozmów.

– Porozmawiamy jutro wieczorem o rozdziale, nad którym pracujesz – proponuję. – Domyślam się, że pisanie o załamaniu, które przechodziła twoja pierwsza żona i twoim stosunku do tamtych zdarzeń jest wyjątkowo trudne. Chciałabym dowiedzieć się, o czym myślisz i zwyczajnie być dla ciebie.

Przed zaśnięciem zastanawiam się nad tym, jak nieocenione są relacje partnerskie i dochodzę do wniosku, że po dwudziestu latach związku Art i ja zaczęliśmy traktować siebie rutynowo. Konwersacje o życiu i wpływie kariery na nasz prywatny świat sprawiają, że na powrót musimy negocjować w nim swoje miejsca. Droga mknącego pociągu jest dużo bardziej kręta, niż przypuszczałam na początku tej opowieści...

Refleksja nad wytyczaniem dalszej drogi

„To, czym jest życie ujawnia się w chwili paroksyzmu, a nie w momencie chłodnej refleksji” — powiada Guignon (2010: 7), interpretujący pisma Martina Heideggera i Sorena Kierkegaarda. „Jak twierdzi Heidegger, nasze zaangażowanie emocjonalne rozświećla rzeczywistość w charakterystyczny sposób, Kierkegaard zaś utrzymuje, iż jako egzystujące jednostki osiągamy wgląd w rzeczy jedynie poprzez afektywne bycie w świecie” (Tamże).

Czy możemy być radykalnie zaangażowani i zarazem odporni na stres? Czy możemy być zbyt zaangażowani? Czy skrajne zaangażowanie jest zgubne, gdyż, jak sugeruje Lippitt (2005: 87), prowadzi ono do zawężenia perspektywy, ograniczając zdolność podejmowania najlepszych decyzji w odniesieniu do siebie i tych, którzy są od nas zależni? Czy niekiedy potrzebujemy wstrząsu lub choćby „zaskoczenia przełamującego zastały sposób patrzenia na rzeczy”? (Tamże). Czy właśnie tego potrzebowałam ja?

Nie znam odpowiedzi na te pytania, wiem tylko, iż warto je postawić. Wydaje mi się, że nie jestem w stanie pomóc sobie samej; nie umiem żyć pasywnie. Muszę posługiwać się refleksją polegającą na nieustannym mieszaniu gorącej emocjonalności z chłodną analizą, obu zakropionych — jak proponuje Kierkegaard — szczyptą humoru. Równie mocno co życia „na wulkanie” albo życia maksymalnie skupionego na chwili (jemu to z pasją oddają się Zen i Buddha), pożądam refleksywnego odstępu, pozwalającego widzieć rzeczy w wyostrzonym świetle (Freeman 2010: 207; por. także Ellis 2009). Zaangażowanie i refleksja nad nim odpowiadają punktom zyskującym prawomocność w otwartym, dialektycznym procesie konstytuującym „ja”. Opowieść nie ma zamknięcia; niesie ona natomiast świadomość, że tym do czego i jak docieram są wybory, dokonywane w momentarnych aktach interakcji ze światem.

Górnolotne myśli przerywa nagle brzęczenie, dobywające się z mojej kieszeni; BlackBerry przypomina mi, że umówiłam się z przyjaciółką z Facebook’a. Jak mam wyłączyć to cholerne brzęczenie? Chyba nigdy się tego nie nauczę. Spróbować raz jeszcze, czy dać sobie spokój? Czy jeśli zacznę się „bawić” teraz smartfonem, to skutecznie oderwie mnie to od kończenia artykułu? Naciskam przycisk na klawiaturze i... biorę się za przewijanie świeżo odebranych e-maili. Między nimi znajduje się wiadomość od profesorki, która odnosi się do pierwszej wersji mojej opowieści. Píše ona:

Twoja opowieść bardzo mi się spodobała, głównie dlatego, że po jej lekturze mogłam wykrzyknąć: „Ja też! Ja też!”, na czym, jak sądzę, ci zależało... twój tekst uświadomił mi, że nie jestem sama. Sprawiałaś mi niespodziewany prezent. Ciekawe są przywoływane przez ciebie mikrohistorie oraz pomysł z prowadzeniem wewnętrznego dialogu, co uwiarygodnia opowieść... Te dwugłosowe dialogi przypominają moje własne porzucane, goniące za sobą myśli; miejscami miałam wrażenie, że, przysięgam (!),

siedzisz w mojej głowie i słuchasz mnie. Co dziwne, ostatnio jestem w kontakcie z trójką znajomych, którzy mają takie same odczucia. Myśli przepełnione dumą wyraźnie straciły impet; bycie redaktorką bardziej mnie teraz przeraża niż ekscytuje. (e-mail do autorki datowany na 10 sierpnia 2010)

Przytoczony fragment listu zachęca mnie do myślenia o innych reakcjach na mój artykuł (pochodzą one głównie od kobiet). Przewijam kolejne e-maile i natrafiam m.in. na taki oto *passus* (napisany przed kilkoma dniami przez młodą stażem profesorkę):

Ogromnie podoba mi się opowieść. W wielu miejscach mogłabym się pod nią podpisać... co mnie przeraża... przecież dopiero zaczynam swoją karierę, a już jestem zmęczona. I nawet pamiętając twoje ostrzeżenia, żeby mówić „nie”, trudno jest powstrzymać ludzi przed zadawaniem pytań, a siebie przed poczuciem winy, że nie jestem Nadkobietą. (e-mail do autorki datowany na 8 sierpnia 2010)

Następnie klikam na wiadomość z wczoraj — tę z kolei dostałam od doświadczonej profesorki:

Czytając ten tekst, miałam wrażenie, że patrzę w lustro. Mam nadzieję, że my wszyscy będziemy umieli wyskoczyć z pędzącego pociągu, nie raniąc się zbyt. To dobrze, że od czasu do czasu znajduję potwierdzenie, iż nie jadę w nim sama. Chciałabym tylko, żeby to doświadczenie było bardziej idiosynkratyczne, niż prawdopodobnie jest. Reflektowanie nad nim jest czymś pożytecznym; podejmowanie prób radzenia sobie z nim też. Osobiście obiecuję próbować; być może powinniśmy nawzajem to sobie obiecać! (e-mail do autorki datowany na 9 sierpnia 2010)

Czy te odpowiedzi powinny prowadzić dokądś w mojej opowieści? Dokąd? Przypominam sobie o brzęczeniu; o tak, muszę pozbyć się tego uciążliwego alertu na Facebooku. Może zajmę się tym po przeczytaniu nowych e-maili. Tytuły wabiją: „Najświeższe wiadomości; Świętuj Dzień Musztardy; pytania egzaminacyjne; QI 2011; ważna wiadomość; twoja wizyta w Izraelu; streszczenia wywiadów; odniesienia do Holocaustu, konferencja etnograficzna...”

Najeżdżam na „ważną wiadomość”, kciuk zawisa nad przyciskiem — tylko jedna wiadomość, mówię do siebie. Waham się, kątem oka zerkając na psy, które wpatrują się we mnie wyczekująco. Wyraz ich pyszczków jest na tyle wymowny, że powstrzymuję się przed otwarciem e-maila, rozpoznając dobrze znane symptomy ulegania stresowi. Spoglądam na zegarek. Jest dopiero osiemnasta, a więc ciągle brakuje dwóch godzin do zwyczajowego końca roboczej części dnia. Chowam BlackBerry do kieszeni i krzyczę: „Czy ktoś jest gotów na spacer?...”. Psy zrywają się ze swych legowisk, przeciągają się i ziewają, biegają wkoło i skomlą — wszystko na raz. „...poprzedzony dobrym obiadem, ciekawą rozmową, a może i drapaniem po grzbiecie?” – mówię wystarczająco

głośno, aby Art usłyszał mnie w swoim studio. Szalone uderzanie w klawisze raptownie się urywa.

– Straciłem już nadzieję! Do zobaczenia na ścieżce! – odkrzykuje Art, goniąc za psami po schodach. – Ostatni tam, jako pierwszy będzie miał masowany grzbiet.

*

PODZIĘKOWANIA: Dla Arthura Bochnera za zaangażowane rozmowy, konstruktywne spostrzeżenia, znakomitą korektę i drapanie po plecach. Dziękuję także Carole Blair, Robinowi Boylornowi, Laurze Ellingson, Marcinowi Kafarowi, Doughowi McAdamowi, Ronowi Peliasowi, Chrisowi Poulosowi, Carol Rambo i Laurel Richardson za lekturę i myślowe wsparcie tego artykułu.

Bibliografia

- Bellah R., Madsen R., Sullivan W.M., Swindler A., Tipton S.M.
1985 *Habits of the Heart*, New York.
- Bochner A.
2009 *Communication's Calling: The Importance of What We Care About*, Presidential address, National Communication Association, November 23, 2008, Chicago, „Spectra”, nr 45, s. 14-29.
- Carey B.
2010 *On the Verge of "Vital Exhaustion"?*, „New York Times”, May 31, <http://www.nytimes.com/2010/06/01/health/01mind.html?hpw> (04.06.2010).
- Cohen L.
1992 *Anthem*, „The Future”, Columbia.
- Cooley Ch.H.
1902 *Human Nature and the Social Order*, New York.
- Ellis C.
2009 *Revision: Autoethnographic Reflection on Life and Work*, Walnut Creek.
- Farber B.A.
1990 *Burnout in Psychotherapist: Incidence, Types, and Trends*, „Psychotherapy in Private Practice”, nr 8, s. 35-44.
- Freeman M.
2010 *Hindsight: The Promise and Peril of Looking Backward*, New York.
- Gleick J.
2000 *Faster: The Acceleration of Just about Everything*, New York.
- Guignon Ch.
2010 *Heidegger and Kierkegaard on Death: The Existentiell and Existential*, niepublikowany manuskrypt, Philosophy Department, University of South Florida.
- Lippitt J.
2005 *Telling Tales: Johannes Climacus and "Narrative Unity"*, [w:] N.J. Cappelorn, H. Deuser, K.B. Soderquist (red.), *Kierkegaard Studies: Yearbook 2005*, Berlin, s. 71-89.

Montero-Marin J., Garcia-Campayo J., Mera D.M., Lopez del Hoyo Y.

2009 *A New Definition of Burnout Syndrome Based on Farber's Proposal*, „Journal of Occupational Medicine and Toxicology”, nr 4 (31), <http://www.occup-med.com/content/4/1/31> (30.07.2010).

Powers W.

2010 *Hamlet's BlackBerry: A Practical Philosophy for Building a Good Life in the Digital Age*, New York.

Rose D.

1990 *Living the Ethnographic Life*, Qualitative Research Series, vol. 23, Newbury Park, CA.

Rosen Ch.

2008 *The Myth of Multitasking*, „New Atlantis” (Spring), s. 105-110.

Senior J.

2006 *Can't Get No Satisfaction*, „New York Magazine”, November 26, <http://nymag.com/news/features/24757/>.

Przełożył Marcin Kafar

Przekładu dokonano na podstawie: Carolyn Ellis, *Jumping On and Off the Runaway Train of Success: Stress and Committed Intensity in an Academic Life*, „Symbolic Interaction”, vol. 34, no. 2 (Spring 2011), pp. 158-172. Copyright © (2011) by the Society for the Study of Symbolic Interaction. Redaktor tomu składa wydawcy serdeczne podziękowania za zgodę na przekład i publikację.